

Dzieło sztuki

11 czerwca 2017

Trzymając pod pachą paczkę, owiniętą w Nr. 223 „Wiadomości Giełdowych”, wsunął się Sasza Smirnow do gabinetu doktora Koszelkowa.

– Ach, cóż za miły gość! – zawołał doktor. – Jakże się czujemy? Co pan powie nowego?

Sasza mrugnął oczyma, przyłożył rękę do serca i drżącym głosem zaczął:

– Mama się kłania i pozdrawia... Jestem jej jedynakiem i pan uratował mi życie, wyleczył z niebezpiecznej choroby... Nie wiemy, doprawdy, jak panu dziękować...

– Dosyć już, dosyć – bronił się doktor, nie posiadając się z radości. – Uczyniłem tylko to, co każdy inny uczyniłby na moim miejscu.

– Jestem jedynakiem i pan uratował mi życie... Jesteśmy ludzie biedni i oczywiście, nie możemy opłacić pańskiego trudu i... bardzo nam wstyd, panie doktorze, chociaż jednak mama i ja... jedyny syn... usilnie prosimy przyjąć w dowód wdzięczności... tę rzecz, która... Rzecz bardzo cenna, ze starego brązu... dzieło sztuki.

– Niepotrzebnie – bronił się doktor – no, i po cóż mi to?

– Nie, niech pan doktor nam nie odmawia – bełkotał Sasza – rozwijając paczkę. – Odmową obraziłby pan i mamę, i mnie... Rzecz bardzo ładna... ze starego brązu... Mamy ją jeszcze po ojcu nieboszczyku i przechowywaliśmy jak najdroższą pamiątkę. Ojciec mój skupował stare brązy i sprzedawał amatorom. Teraz ja z mamusią zajmujemy się tym samym...

Sasza rozwinął papier i z dumą postawił przedmiot na stole. Był to nieduży kandelabr ze starego brązu kunsztownej roboty.

Wyobrażał grupę: na piedestale stały dwie postacie kobiece w strojach Ewy, w pozach, dla opisu których brak nam śmiałości. Postacie uśmiechały się zalotnie i sprawiały w ogóle takie wrażenie, że można by sądzić, że gdyby nie obowiązek podtrzymywania świecznika, zeskoczyłyby z piedestału i zrobiłyby w pokoju coś takiego, o czym nawet myśleć nie wypada.

Spojrząwszy na ten dar, doktor podrapał się z lekka za uchem i potarł nos.

– Tak, rzecz naprawdę prześliczna – wybełkotał – ale jakby to powiedzieć, nie tego... trochę zanadto nieliteracka... To już nie dekol, lecz lichy wie, co takiego...

– Panu się to nie podoba?

– Sam wąż-kusiciel nie wymyśliłby nic gorszego... Przecież postawić na stole taką... tego... fantasmagorię, znaczyłoby całe mieszkanie zapaskudzić.

– Jak pan dziwnie sądzi o sztuce – obraził się Sasza. – Przecież to dzieło sztuki, niech się pan przyjrzy. Tyle w tym piękna, że duszę opanowuje niezwykle uczucie i łączy duszą w gardle. Patrząc na tak piękną rzecz, zapomina się o wszystkim na ziemi. Niech pan zwróci uwagę, jak wiele w tym ruchu ekspresji...

– Wszystko to doskonale rozumiem – przerwał doktor – ale niech pan sam osądzi: u mnie tu przecież dzieciaki biegają, bywają damy...

– Oczywiście, patrząc na to piękne dzieło sztuki z punktu widzenia tłumu – rzekł Sasza – przedstawi się ono zupełnie w innym świetle. Ale niech pan doktor stanie ponad tłumem, tym bardziej, że odmowa głęboko zasmuciłaby mnie i mamusię. Jestem jedynakiem, pan uratował mi życie... Oddajemy panu najdroższą naszą rzecz i... żałuję tylko, że nie ma pary do tego pięknego kandelabra.

– Dziękuję bardzo, jestem szczerze wdzięczny... Proszę kłaniać się mamusi, ale naprawdę, niech pan osądzi, u mnie tu dzieciaki biegają, damy bywają. Zresztą, niech zostanie, pan tego i tak nie zrozumie.

– I tłumaczyć nie warto – ucieszył się Sasza. – Niech pan ten kandelabr tutaj postawi, tutaj, koło wazonu. Jaka szkoda, że nie ma pary! Jaka szkoda! Do widzenia, panie doktorze.

Po wyjściu Saszy, doktor długo drapał się za uchem i rozmyślał.

...Rzecz doskonała, ani słowa – myślał – wyrzucić – szkoda... a zostawić u siebie – niemożliwe... Hm... To dopiero łamigłówka! Komu by ją podarować?

Po długim namyśle przypomniał sobie dobrego znajomego, adwokata Uchowa, któremu był winien za prowadzenie sprawy.

...Doskonale – pomyślał doktor. – Jemu, jako przyjacielowi, nie wypada wziąć ode mnie pieniędzy, więc będę zupełnie w porządku, jeżeli mu coś zaniosę. Odwiozę mu to paskudztwo, jest nieżonaty, lekkomyślny...

Bez zwłoki przeto doktor ubrał się i pojechał z kandelabrem do Uchowa.

– Jak się masz, przyjacielu – rzekł, zastawszy adwokata w domu... – Przyszedłem podziękować ci za twoją pracę. Nie chcesz pieniędzy, to przynajmniej weź to. Przepiękna rzecz.

Ujrawszy świecznik, adwokat wpadł w nieopisany zachwyt.

– A to dopiero! – zaśmiał się. – Niech ich diabli! Że też ludzie wymyślą coś podobnego. Nadzwyczajne! Zachwycające! Skąd ci to wydostał? – Wyrzuciwszy swój zachwyt, adwokat spojrzał lękliwie na drzwi, powiedział:

– Tylko, bracie, zabieraj swój prezent. Nie mogę tego przyjąć.

– Dlaczego? – przeląkł się doktor.

– A dlatego... U mnie tu bywa matka, klienci... nawet przed służącą byłoby mi wstyd.

– Nie, nie, nie... nie myśl nawet o odmowie, to byłoby świństwo. Obrząbiłbym się.

– Żeby choć zamazane było albo listki figowe poprzyczepiane...

Ale doktor machnął rękami, wybiegł szybko z mieszkania przyjaciela i zadowolony, że mu się udało pozbyć przedmiotu, pojechał do domu.

Po jego wyjściu, adwokat obejrzał świecznik, obmacał go ze wszystkich stron i podobnie, jak doktor, długo łamał sobie głowę, co zrobić z podarunkiem.

...Rzecz prześliczna – myślał – wyrzucić – szkoda, a trzymać u siebie – nieprzyzwoicie. Najlepiej komuś podarować... O, zaniósę ją dziś wieczorem komikowi Szaszkinowi. Lubi, kanalia, takie rzeczy, a dziś nawet jest jego benefis...

Uchow zrobił, jak postanowił. Wieczorem kandelabr, starannie owinięty, wręczony został Szaszkinowi. Przez cały wieczór w garderobie komika było pełno mężczyzn, którzy przychodzili oglądać prezent. Cały czas słychać było w garderobie hałas i śmiech, podobny do rżenia koni. Jeżeli do drzwi zbliżała się która z aktorek i pytała: – „Czy można?” – natychmiast dawał się słyszeć ochrypnięty głos komika: – „Nie, nie, jestem nieubrany!”

Po przedstawieniu komik wzruszył ramionami i mówił:

– Gdzież ja to świństwo podzieję? U mnie przecie artystki bywają. Fotografie – to jeszcze do szuflady schować można, a z tym?...

– A niech pan sprzeda – poradził fryzjer. – Tu niedaleko mieszka jedna staruszka, która kupuje stare brązy. Spytać się

tylko trzeba o Smirnową, ją tam każde dziecko zna.

Komik usłuchał...

W dwa dni później doktor Koszelkow siedział w swym gabinecie i przyłożywszy palec do czoła, rozmyślał o kwasach żółciowych – nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Sasza Smirnow. Uśmiechał się i cała jego postać promieniała szczęściem. W rękę trzymał coś owiniętego w gazetę.

– Panie doktorze – zaczął, nie mogąc złapać tchu. – Niech pan sobie wystawi moją radość. Udało nam się znaleźć parę do pańskiego kandelabra. Mamusia tak się ucieszyła. Jestem jej jedynym synem. Pan mi uratował życie...

I Sasza, drżąc z wdzięczności, postawił przed doktorem świecznik. Doktor otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic: mowę mu odjęto...

Autorstwo: Anton Czechow

Tłumaczenie: A. W.

Źródło: WolneLektury.pl